ROK TRZECI.

—

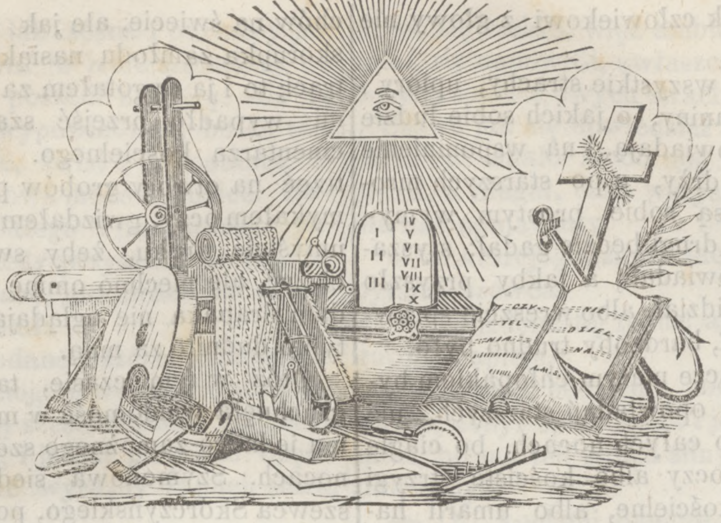
№ 28.

Warszawa

Dnia 29 czerwca (11 lipca) 1858.

Niedziela

7ma po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! którego Opatrzność w swojem rozporządzeniu nigdy się nie omyla, najpokorniej błagamy Cię, iżbyś wszelkie szkodliwe rzeczy od nas oddalił, a pożytecznych udzielić raczył. (Kolekta na Niedzielę siódmą po Świątkach).

Modlitwa Pańska.

—

Ojcze nasz! głos miłości wznosimy do Ciebie,
Święć się Imię Twe wielkie, przyjdź Królestwo Boże,
Bądź wola Twoja święta przez wieków przestworze,
Na światach niezliczonych, na ziemi i w niebie.

Gdy niedola ród ludzki przyciśnie bez tamy,
Wtedy chlebem i słowem nakarm ziemskie syny;
I odpuść nam grzesznikom, odpuść nasze winy,
Jako my bliźnim naszym winy odpuszczamy.

Lecz gdy szatan kusiciel ognie swe roznieci,
A podłość jadem zionie na plemię Noego,
Ojcze nasz! wielki Boże! ocal Twoje dzieci,
Tchnij duchem Twym na ludzkość, i zbaw nas od złego.

Takie strachy bywają na świecie.

(Zdarzenie prawdziwe).

—

Jak to niedobrze robią ci rodzice, którzy pozwalają służącym straszyć dzieci, i sami każą ubierać cudackie lalki; bo chociaż na chwilę ukoją płacz dziecka, ale na przyszłość robią je trwożliwemi jakoby te zające, które powiewu listka strachać się zwykły. Częstokroć taka zabawka pustych sług wywiera szkodliwy wpływ na całe życie przestraszonego dziecka, sprowadza konwulsye, a częstokroć i śmierć samą. Po wsiach i miasteczkach, szczególniej kobiety, których wyobraźnia napojona zamłodu tysiącami przypowiastek i gawędek o strachach, upiorach i duchach, stają się tak trwożliwemi, tak zabobonnemi, że najmniejszy wypadek, którego sobie wytłumaczyć nie umieją, biorą za jakieś nadzwyczajne zjawienie, boją się niewiedzieć czego, przelewając to samo na swoje dzieci. A to jest bardzo źle, bo najprzód obrażają Pana Boga, który kazał w siebie tylko wierzyć i ufać, a jak mówi pismo święte, bez Jego

woli i jeden włosek człowiekowi z głowy nie spadnie.

Tymczasem te wszystkie strachy, upiory i tym podobne gadaniny, o jakich sobie ludzie wieczorami rozpowiadają, i na wspomnienie których dziatwa drży, a po starszych mrowie przechodzi, są sobie prostym wymysłem; bo i jeden i drugi będzie gadał: słyszałem, jak tatuś opowiadali; a jakby przyszło znaleść tego, co widział, albo wreszcie sprawdzić to, co widział, bardzoby trudno było.

Pamiętam, jeszcze małym chłopakiem byłem, to słuchając opowiadań starszych, nie mogłem sypiać po całych nocach, bo ciągle stawały mi przed oczy albo kościste strzygi jadające świece kościelne, albo umarli hałasujący po śmierci; a o tem, jak brat z umarłego brata chciał zdjąć koszulę, a ten go złapał za rękę, która przyrosła, to tyle razy słyszałem, że naprawdę zacząłem wierzyć w to wszystko. Bywało, niech się ściemni na dworze, już choćby kijem, to mnie z izby nie wypędzisz, a niech spojrzę przypadkiem za okno, to w każdem drzewie upatrywałem olbrzyma, każdy słup biały wydawał mi się nieboszczykiem w śmiertelnem ubraniu, każdy czarny pies djabłem i t. p.

Koledzy moi szkolni, wiedząc o takiem usposobieniu, tysiączne płatali mi figle, z których Bóg tylko jeden wie, com ucierpiał i com się napłakał.

Już to na wsi, szczególniej jak sobie gospodarz w miasteczku podpije, a wraca sam do chałupy, to z pewnością będzie go złe wodziło po różnych manowcach, będzie go napastowało w postaci kota, psa albo krowy; nieraz go i z mostu zrzuci, ma się rozumieć z takiego, na którym niema poręczy, wpakuje go do rowu, ubranie mu podrze i oczy podbije. Ej! kochany taki gospodarzu, gdyby wam się nie troiło w oczach, a uczciwie, trzeźwo, jak Bóg przykazał, wracaliście spokojnie do chałupy, toby was złe nie napastowało, i na drugi dzień nie straszylibyście ludzi, rozgadując swoje przypadki i zaklinając się, żeście byli trzeźwi. Toć prawda, że każdy pijak do ostatka będzie się upierał, iż jako żywo jest sobie trzeźwy.

Byłem już prawie wyrostkiem, i chociaż to niby pozbyłem się dziecinnej bojaźni, udawałem zucha, śmiałem się ze wszystkich strachów na świecie, ale jak to powiadają: czem skorupka zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci; to i ja dygotałem za każdym razem, jak mi wypadło przejść szarą godziną około cmentarza kościelnego. Nie chcąc niby patrzeć na otwory grobów pod kościołem, zamykałem oczy, gwizdałem sobie, wstrzymując umyślnie kroku, żeby swój strach przezwyciężyć, ale niechno ominę ów cmentarz, to jak dam drapaka nie oglądając się za siebie, to tylko dudniło za mną.

Otóż w tym czasie, tak jakoś w jesieni, gruchnęła wiadomość w miasteczku, że w domu jednego zamożnego szewca coś straszy po nocach. Szymonowa siedząca komornem u szewca Skórczyńskiego, pod sekretem powiedziała Maciejowej ogrodniczce, że sama Skórczyńska, co to zawsze czerwoną jest jak burak, dziś wstała blada jak trup, bo mówi, całą noc prawie hałasuje coś po górze. Maciejowa bardzo nabożna kobieta, po prymaryi, przed kościołem powtórzyła Jakóbowej bednarzowej, że Szymonowa widziała, jak szewcowa bez ubrania w nocy wyleciała na ulicę i wołała ratunku, że zły duch, niby pies czarny kudłaty wyglądał dymnikiem. Jakóbowa znowu w jatce opowiadała rzeźniczce, co to tam za strachy są u szewca Skórczyńskiego; że pełna góra niby psów czarnych, że wyją, jakby stado wściekłych wilków, że jeden z nich łapą uderzył w twarz szewcowę, a ona padła nieżywa i ledwie ją Szymonowa otrzeźwiła. Z jatek nareszcie wszystkie sługi od utrzymujących studentów rozniosły tę wieść po domach, a gdyśmy na obiad ze szkoły wrócili, powtarzano najokropniejsze wieści. Kto tylko był ciekawy, to biegł do domu szewca, a że ciekawość koniecznie potrzebuje swego zaspokojenia, więc pod wieczór mówiono, że szewc Skórczyński miał brata, którego podobno skrzywdził na majątku, a ten brat przed miesiącem zniknął, że nieboszczyk ojciec Skórczyńskiego zabił jakiegoś pana podróżnego, że on z całym szwadronem złych duchów plondruje po górze, że widziała dziewka, jak okrwawiony, z przebitą piersią brat szewca schodził ze strychu i krzyczał: morderco! że sam szewc zwarjował, a wszyscy z domu na noc pouciekali.

Ale to wszystko niczem było, przy tem, co na drugi dzień gadano. Słuchajcie: parobek,

tak, parobek tęgi jak sosna i odważny jak sam lucyper, nocował w izbie szewckiej, i o dwunastej w nocy poszedł na górę. Co się tam działo, trudno wypowiedzieć, bo co tam był za krzyk, wycie, świst i szamotania, to tylko jedna Szymonowa może wiedzieć. Rano znaleziono omdlałego i poranionego parobka w sieni, a kiedy przyszedł do przytomności, to tylko: strach, jest strach, mógł wymówić i znowu omdlał.

Na trzeci dzień dodano jeszcze, że strach hałasuje jeszcze bardziej, nawet sprowadził sobie karetę piekielną sześciu końmi ziejącemi ogień zaprzęgniętą, i jeździ po górze opętaniec, a dokoła czuć wyraźny zapach siarki ze smołą.

Nic więc dziwnego, że podobne gadaniny, zajmowały całą młodzież szkolną, i że na lekcyi religii, której sam ksiądz rektor już siedmdziesięcio-letni starzec wykładał, jeden z nas zapytał go, czy są jakie strachy?

— Dla głupców i głów oślich mosindzieju, odrzekł starowina.

— Ależ proszę księdza rektora, wszyscy gadają...

— I papugi gadają mosindzieju, a kto im wierzy? Są strachy, ale dla tych, co lekcyi się nie wyuczą, a tamte u szewca mosindzieju, to pewno na dwóch nogach.

— Proszę księdza rektora, odzywam się, podobno czuć siarkę i smołę, i parobek, co nocował w tym domu, zachorował z tego, i leży bez przytomności.

— Na wszelkie fetory mosindzieju najlepsza tabaka, a że ten niezgraba spadł ze schodów i rozbił sobie mózgownicę, to plecie androny. Ot, żebym ja mosindzieju nie nosił na grzbiecie lat siedmdziesięciu, tobym owego stracha nauczył moresu.

I więcej już o tem rozmawiać nie chciał, co tyle dodało mi odwagi, że zaraz po lekcyi odzywam się do kolegów:

— Wiecie co, chodźmy do owego stracha!

— Dobrze, chodźmy, odrzekło kilkunastu, i rada w radę, ułożyliśmy się, że dwunastu najśmielszych będziemy nocować w izbie szewca i zrobimy wyprawę na duchy.

Gadać, to bardzo łatwo, ale gdy nadszedł wieczór, uważałem tchórzostwo nasze. Owych dwunastu zmniejszyło się do pięciu; inni albo się pochowali, albo udali chorych, a tu słowo się rzekło, więc ambicya nie pozwalała cofać się napowrót, zwłaszcza, że ksiądz rektor tak sobie z owych strachów żartował.

Szewc jak się dowiedział o naszych zamiarach, tak omało że do nóg nam nie upadł, a prosił, a błagał, choć wszystkie kobiety usilnie nas odmawiały.

— O której godzinie zaczyna hałasować? pytamy szewca.

— Od jedenastej panie! aż do 1ej, póki kogut nie zapieje.

— Dobrze, będziemy nocować u pana; ale trzeba, żebyś spał z nami i jeszcze który z czeladzi, bo jak ten strach silny, tobyśmy mu nie dali rady.

— Oj, kochani panicze, mówi, wszystko zrobię, co chcecie, aleć co spać, to za żadne w świecie pieniądze, za żadne prośby nie będę. Gdyby mi przyszło chałupę zburzyć, to zburzę, a spać nie będę i nie będę.

Ha, niema rady—ani szewc ani czeladnik, ani żaden z mieszczan towarzyszyć nam nie chciał; więc strach i nas ogarnął, jeden spogląda na drugiego, a każdy chciałby się cofnąć. Ja co prawda, może byłbym najpierwszym, ale Franuś Kotulski trzecio-klasista, chłopak mały, szczupłej budowy i powolnego charakteru powiada:

— Boicie się, to sobie idźcie do domu; zostawcie mi tylko świecę i dobrą laskę, a ja sam tu będę nocował.

Zawstydziliśmy się wszyscy, raz, żeśmy Franusia uważali za baj bardzo, a powtóre, że był najmłodszym i z trzeciej klassy, gdy my jako czwarto-klasiści mieliśmy pretensyę do zuchwalstwa i powagi między współuczniami.

— Ale po co? odpowiadam, żaden z nas się nie cofnie, a kto chce kpem zostać, niech sobie idzie!

Pamiętam dobrze, rozpaliliśmy ogień na kominie, opatrzyli swoje palcaty i kiedy szewc się oddalił, zasiedliśmy na jego warsztacie ze śmiechem szczęśliwej młodości, żartami i psotami, skracając chwile strasznego oczekiwania.

Od tego do tego, dalejże czubić się z sobą, dalejże palić w kominie szewckie kopyta, a nie mając zegarka, bo dawniej nie tak łatwo młodemu jak dziś było o zegarek, zapomnieliśmy prawie o strachach.

Aż tu naraz huru buru... stuk, puk, łomot!.. Gdzie który stał, tak skamieniał, a włosy

powstały na głowie i zimny dreszcz przebiegł po plecach. Na górze piekielne pląsy, zdawało się, że powała tylko co nie runie na nas, bo wapno i glina kawałami odpadały, a ogień trzeszczał na kominie, wiatr jesienny z deszczem bił w szyby, potrząsając staremi ścianami. Pierwszy strach najgorszy, ale wreszcie z nim, jak i ze wszystkiem na świecie oswoić się można. Tak też i my spojrzeliśmy po sobie i dalejże przysuwać się jeden ku drugiemu, i dalejże radzić pocichu.

— Pójdźmy na górę, rzeknie Kotulski, co ma być, to będzie, starosta albo kapucyn; przecież nas żywcem nie pozjada.

— Zaczekajmy jeszcze, mówię, dygocząc...

— Eh! to sobie czekajcie, odpowiada z flegmą, i zapala świecę w latarni.

Z izby wychodziło się zaraz do sieni, a tuż obok drzwi, umieszczone były schody na strych prowadzące. Schody te nie miały żadnych załamków, ot poprostu kilkanaście stopni wązkich, nakształt drabiny spadzisto opartej. Pod samą powałą, tam, gdzie się owe schody kończyły, otwierała się duża i ciężka klapa do góry.

Jak tylko drzwi przy wyjściu naszem z izby skrzypnęły, hałas na strychu przerażająco się powiększył. Zdawało się, że dach trzeszczy, z komina cegły lecą, bo uderzenie za uderzeniem w ową klapę nad schodami powtarzało się coraz to groźniej.

Kotulski trzymając latarnię w jednej ręce, a kij sękaty w drugiej, usiadł na drugim stopniu schodów, ja na pierwszym, i w miarę jak się posuwał ku strychowi, ja także siadałem wyżej, a za mną trzech następnych.

Jakie tylko zapamiętałem modlitwy i pieśni nabożne, tom sobie je powtarzał cichutko, a ilerazy mocniejszy huk dał się słyszeć od strychu, zamykałem oczy, spodziewając się lada moment straszliwego uderzenia.

Kotulski już siedzi pod klapą.

— No koledzy! szepnie, ja podnoszę drzwi głową, kije na pogotowiu, naprzód w imię Boga. Józefie, mówi do mnie, podnieś się i ty, bo sam nie poradzę.

— Oj! jakżebym w tej chwili chciał być przynajmiej o jakie sto mil od chałupy szewca, bo chociaż Kotulski zachował przytomność umysłu i minę zuchowatą, czego mu do samej śmierci zazdrościć nie przestanę, to ja za to mając zapruszone oczy rumowiskiem sypiącem się z góry, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Klapa podnosi się coraz wyżej, ja staję wyprostowany na schodach... stuk, hurkot ponad nami coraz większy, Kotulski już chce wstąpić na polepę strychu, gdy jak coś nim zawinie, jak trząśnie, to mój Franuś bach! na mnie, ja na drugiego i nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się leżący pokotem na ziemi.

Wobec przeraźliwego strachu, bólu z upadku nie czułem, więc po niejakim czasie otwieram oczy... ciemno; chcę przemówić, usta mam zapakowane—krząkam więc, unosząc się nieco i słyszę, że tamci również spluwają, mrucząc jak niedźwiedzie. Szczęście mieć chciało, że upadłem tuż obok drzwi izby, które popchnąwszy nogą, otworzyłem na rozcież. Proszę sobie wyobrazić, jakeśmy się zdziwili, ujrzawszy pełną sień może na łokieć od ziemi pokrytą warstwą jakby śniegu. Pierwszy wpadłem do oświeconej izby, a za mną dopiero jak mary grobowe powstawali z owego śniegu niby zpod ziemi, strwożeni koledzy.

— Co to jest?

— Pierze, mówię, oglądając drobny puch na sukni osiadły. I dopieroż jak się zaczniemy śmiać z naszego śniegu i przestrachu, to zapomnieliśmy nawet o plondrującym pod strychem nieboszczyku. Pokazało się wtedy, że beczka tak nazwana solówka, z pierzem stała tuż przy wejściu na strych, i że kochany Franuś otwierając klapę, trącił ją nieostrożnie tak, że spadła na nas z ogromnym łomotem, a pierze zasypały całkowitą powierzchnię sieni.

Przekonawszy się, że to nie strach, z nową odwagą ruszyliśmy już ze świecą w ręku na schody. Jakoś i huk na strychu słabnął, a tylko kiedyniekiedy i to w drugim kącie poddasza, dawał się słyszeć dziwny chrzest zasuszonych czy liści, czy papierów. Kotulski na przedzie, już stoi na strychu obok muru kominowego, zwolna posuwa się dalej, gdy naraz jak nie krzyknie: Jezus Marja, i rzuciwszy zagasłą świecę, sunie się w głąb ciemnego poddasza: Trzymaj, goń, to nie duch, bo bije, woła na całe gardło... Do mnie, do mnie prędzej, trzymam za nogi, prędzej, w butach jest, w butach!

Utykając po różnych sprzętach i belkach,

przypełzałem ku niemu, kierując się za głosem i dygocząc jak w febrze; z rozpaczy całą siłą chwyciłem kogoś za nogę.

— Świecy, świecy! wołam, odbierając silne ciosy wydzierającej się, w duży but ubranej nogi...

Za chwilę przybiegł jeden z kolegów ze świecą, więc dalejże wciągać nogi owego stracha napowrót.

Pokazało się wreszcie, że w dachu już najniżej był otwór, i tym groźny duch miał zamiar uciekać, kiedy odważny Kotulski chwycił go za nogę. Szarpał się i rzucał, ale połączywszy wspólne nasze siły, zmusiliśmy owe nogi, że się nieco przygięły, że potem pokazał się korpus, potem ramiona, ręce, szyja, a nakoniec czarna kudłata głowa w białej szlafmycy.

— Takiś to zuch panie strachu! zawołał Franuś, odwróciwszy głowę wciągniętego mężczyzny. No, no, nie udaj, a pójdź na dół; straszyłeś ludzi, to też i my ciebie przestraszymy.

Z tryumfem tedy wielkim i wesołością bez granic sprowadziliśmy do izby pana stracha. Ani mniej ani więcej, byłto sobie trzydziestokilkuletni mężczyzna, wysoki jak dąb, barczysty, czarno zarosły; miał na sobie długą białą koszulę i takąż na głowie szlafmycę, w pasie przewiązany powrósłem, a w ręku trzymał dużą kość z końskiej szczęki. Widać, że wstydził się bardzo, bo ani słowa nie chciał przemówić, a leżał nieruchomie, zasłaniając twarz rękoma.

Do samego rana przesiedzieliśmy w izbie szewca, stróżując pojmanego stracha, a gdy się rozwidniło, przyszedł burmistrz i dopiero przy badaniu wszystko się wydało.

Onufry Kaliniak szewc także z powołania, ale łotr wierutny, próżniak i pijak zawołany, nie mając z czego żyć, przedsięwziął korzystać z trwożliwości Skórczyńskiego mieszkającego tuż obok. W tym celu wybił otwór w dachu swego domu, a że rynna tylko rozdzielała owe dachy sąsiadujących majstrów, więc przełaził na strych kolegi, wyciągał skórę po skórze, których Skórczyński miał dobry zapas podstrychem; żeby zaś sobie wszelkie bezpieczeństwo zapewnić, udawał stracha, hałasował, stukał skórami, szeleścił i najdziwaczniejsze pogłoski między kumoszkami rozsiewał.

Dopieroż to był tryumf dla nas, gdy prawie całe miasteczko zbiegło się przed dom szewca na obejrzenie owego stracha, a gdyśmy przyszli do szkoły, ksiądz rektor pochwalił nasz postępek, mówiąc:

— Otóż mościdzieju, takie to zawsze bywają strachy na świecie! Dobrzeście zrobili moje dzieci, żeście pokonali przesąd i tchórzostwo, bo obowiązkiem wykształconego człowieka jest nauczać i przekonywać tych, którzy mniej nauki od was mają.

Ponieważ zaś szanowny strach Kaliniak tak strwożył całe miasteczko, burmistrz na ukaranie, w tem samem ubraniu, w jakiem był na strychu, kazał go publicznie oprowadzić po wszystkich ulicach miasteczka.

Mój Boże! od tego czasu ile to już lat minęło; odważny Kotulski dawno już w grobie, innych kolegów wiatr losów rozrzucił po świecie, a w miasteczku historya ta z ust do ust przeszła do dzisiejszego pokolenia. Wieczorem przy kominku rozmawiają sobie ludzie o strachu Kaliniaku, a każdy z rozsądnych ojców powtarza ją swym dzieciom dodając:

Takie to zwykle strachy bywają na świecie.

Bursztyn.

Jest to ciało kopalne, składające się tak jak żywica z wodorodu i węgla, i dlatego ma ono wielką palność, i wydaje właściwy sobie zapach, szczególniej, gdy się pali bez płomienia, jak to ma miejsce w czasie kadzenia bursztynem. Bursztyn posiada jeszcze własność łatwego topienia się i rozpuszczania mianowicie w eterze i olejku terpentynowym. Na tej własności bursztynu polega sposób robienia z małych jego kawałków znacznej wielkości brył, i wyrabiania z nich różnych ozdobnych przedmiotów.

Bursztyn ma różne odmiany kolorów, dwie jednak główne jego naznaczają się odmiany, to jest *czerwona* czyli pospolita, używana zwykle do kadzenia, a druga *żółto-biaława*, obłoczkowata, która jest znana u nas pod imieniem *kapuśniaka*, i ta głównie używa się do wyrabiania zwyczajnych ozdób bursztynowych.

Bursztyn co do swego pochodzenia jest bez

wątpienia utworem roślinnym, tak jak żywica, pochodzącym z pewnego gatunku zaginionego drzewa iglastego, podobnego do naszej teraźniejszej sosny; w tych bowiem miejscach, gdzie się bursztyn w ziemi znajduje, przytrafiają się większe i mniejsze kawałki drzewa nawpół zwęglonego, czyli tak zwanego lignitu, który składa się z podobnych słojów jak drzewo sosnowe, podobne ma sęki, a czasem między swemi słojami zawiera warstewki bursztynu. Drugim dowodem przekonywającym, że bursztyn jest podobnym produktem natury jak żywica, jest ta okoliczność, że w bursztynie często przytrafiają się szczątki istot roślinnych i zwierzęcych, jakoto: gałązki mchów, liście drzew iglastych, kawałeczki kory tychże drzew, nadto mrówki, jętki, skrzydełka ćmów, tudzież krople wody. Te wszystkie przedmioty nie inaczej dostały się wewnątrz massy bursztynu, tylko przez to, że bursztyn musiał być pierwotnie massą płynną, a rzeczy powyższe przy tej massie będące, musiały być przez nią zagarnięte, i dostały się wraz z nią w ziemię, z której się teraz bursztyn wydobywa.

Bursztyn najobficiej znajduje się w okolicach nad morzem Baltyckiem, a szczczególniej na przestrzeni między ujściem rzeki Wisły i Niemna. W tych to miejscach wypłókiwany bywa z ziemi przez fale morskie i wraz z innemi lekkiemi rzeczami na ląd wyrzucany. W naszym kraju szczególniej w gubernii Płockiej natrafiany bywa bursztyn bądź w glinie, bądź w pokładach piasku. W glinie znajdywany bywa niemal w całym kraju, w pokładach zaś piaskowych bardzo często natrafia się w tak zwanej puszczy Ostrołęckiej, zajmującej część północną powiatów: Przasnyskiego, Ostrołęckiego i Łomżyńskiego. W kilku miejscach tych powiatów, a głównie w Ostrołęce zajmują się mieszkańcy poszukiwaniem bursztynu, i wyrabianiem z niego różnych ozdobnych przedmiotów; jednak w skutek przekonania, że ta rzecz wiele przynosi szkody, mianowicie gospodarstwu leśnemu, ten rodzaj przemysłu zaczyna iść w zaniedbanie, a mieszkańcy zamiast ubiegania się o małe zyski z kopania bursztynu, więcej się poświęcają uprawie ziemi.

Użytki bursztynu w dzisiejszych czasach są bardzo ograniczone, albowiem prócz tego, że odmiana jego czerwona używa się dokadzenia, a biało-żółtawa do wyrabiania pomniejszych ozdób, używa się tylko w lakiernictwie, jako zasada dobrego lakieru.

Bursztyn pod względem naukowym ma tę znakomitą wartość, że na nim pierwszy raz dostrzeżono własność ciał, iż niektóre z nich, jakoto: żywica, szkło, przez potarcie nabywają własności przyciągania do siebie drobnych ciał, np. papieru, pióra i t. d. Spostrzeżenie to zrobione jeszcze na 600 lat przed Narodzeniem Chrystusa w Grecyi, dało nazwę ważnej dziś gałęzi Fizyki *Elektrycznością* zwanej, od wyrazu greckiego *Elektron*, znaczącego *bursztyn.*

Pokój z obrazkami.

II.

(Ciąg dalszy, patrz nr. 20 Cz.)

Skończył swe opowiadanie pan Dąbrowa, obaj chłopcy Adaś i Józio stali nieporuszenie na miejscu z wlepionemi oczyma w obraz, na którym postać Kordeckiego jaśniała. Stary Wojciech, który z wielkiem zajęciem słuchał całej opowieści, rzekł po chwili:

— To proszę wielmożnego pana, widoczny cud Boży, kiedy mało co więcej nad dwieście luda i niewprawnego do broni, a nie dało wziąć świętego klasztoru.

Pan Dąbrowa nic nie odpowiedział, tylko z szuflady dobył obrazek niewielki, ręcznej roboty. Na czele stał sędziwy rycerz, cały w żelaznej zbroi, jedną ręką podnosił u nóg swoich klęczącą niewiastę w rozpaczy załamującą ręce, z rozpuszczonemi włosami, którą dwie inne kobiety podtrzymywały, drugą wskazywał na chorągiew z orłem niewielkim. Twarz jego smutna, a na pomarszczonem licu łzy widoczne. Obok chorążego rozwijającego sztandar, stał drugi, trzymając w skrwawionych pieluchach małe dziecię. To syn jedyny owego w zbroi rycerza i niewiasty, co rozpacza. Za chorążym widać gromadę powiązanych żołnierzy nieprzyjacielskich w żelaznych zbrojach. Cała scena na wyłomie jakiejś fortecy czy zamku. Z wysokości tej murów widać pierzchających nieprzyjaciół w nieładzie. Piechota rzuca broń i uchodzi pospiesznie, jazda pędzi galopem. Od strony Częstochowy, w chmurnej kurzawie, widać po-

rządnie następujące chorągwie skrzydlatych hussarzy polskich i znaki pancerne. Nad wyłomem, gdzie dziecię zamordowane, i matka w boleści, słońce zachodzące ostatnim promieniem przyświeca.

Józio i Adaś postąpili bliżej, patrząc z podziwieniem w ten obrazek; stary Wojciech pochylił się i wąsate oblicze wsunął pomiędzy głowy chłopców.

— To, widzicie, rzekł po chwili pan Dąbrowa, dawszy się im przypatrzyć, działo się dawniej, niż obrona Częstochowy. Było to bowiem za panowania ojca Jana Kazimierza, króla Zygmunta IIIgo, co stoi na kolumnie przy zamku Warszawskim.

— Wiecie chłopcy, gdzie *Wola*?

Adaś i Józio kiwnęli głowami, na znak, że wiedzą, bo nieraz w święto latem ze starym Wojciechem chodzili w tę okolicę.

— Jeżeli więc wiecie, gdzie *Wola*, to na tych obszernych polach, zbierała się cała szlachta zbrojna polska pod swoją starszyzną i tu po śmierci króla pod przewodnictwem Prymasa Arcy-biskupa Gnieźnieńskiego, obierała sobie nowego króla. Po zgonie wielkiego monarchy Stefana Batorego, zgromadziła się także szlachta w szopie drewnianej zbudowanej w środku tego pola, zasiadł w miejsce króla Prymas wraz z biskupami i senatorami, przyjmując posłów zagranicznych z całej Europy, którzy prosili o tron polski dla swoich cesarzów, królów i książąt. Ale wówczas podzieliła się szlachta na dwa stronnictwa, jedno pod wodzą wielkiego wojownika i miłośnika kraju Jana Zamojskiego, obrało sobie młodziutkiego Zygmunta III, drugie pod przewodem bogatego a zuchwałego rodu panów Zborowskich, okrzyknęło Maxymiliana arcy-książęcia austryackiego. Oba te stronnictwa dobyły szabli i w spokojnej Polsce zacięta walka zawrzała. Jan Zamojski co rychlej zpod Warszawy ruszył do Krakowa, aby stolicę osadzić, posłał rozkazy do dowódzców zamków i twierdz w kraju i pogranicznych, aby się trzymali, i wspierali stronę Zygmunta III królewicza szwedzkiego. Mało co dalej jak mila od Częstochowy, stał obronny zamek *Olsztyn*, z którego gruzy tylko zostały teraz, ale w owe czasy, wyniesiony na skalistej górze, opasany grubemi murami i basztami, był silną fortecą. Tam dowodził Kasper *Karliński*, herbu *Ostoja*, mąż w rycerskich rzeczach doświadczony i zasłużony. Siedmiu synów wychowawszy i uzbroiwszy, wysłał na obronę kraju i wszyscy mężnie walcząc, na polu bitwy polegli. Na tym obrazku widzicie tego sędziwego wojownika. Został mu tylko ósmy i ostatni, imieniem Zygmunt. Arcy-książę Maxymilian z wojskami niemieckiemi, wsparty szlachtą i rycerstwem polskiem ze stronnictwa Zborowskich, uderzył na Kraków, ale Zamojski pobił go, i zmusił do odstąpienia. Nie zachwyciwszy stolicy, chciał zdobyć zamki pograniczne, i dlatego zwrócił silny oddział na Olsztyn. Karliński już otrzymał wiadomość o wszystkiem i rozkaz od Zamojskiego, aby bronił statecznie Olsztyna. Austryacy daremnie kilka szturmów przypuszczali, odparł każdy mężnie; ze wstydem uchodzić zpod murów Olsztyna musieli. Wszakże Bóg najcięższą próbę zesłał na poczciwego i cnotliwego Karlińskiego. Piastunka z małym jego synkiem Zygmuntem, wyszła na przechadzkę, nie widząc już niemców, gdy ci zaczajeni pochwycili ją z dziecinką. Dowiedziawszy się, że to syn dowódzcy Olsztyna, postanowili użyć piekielnego podstępu. Nazajutrz rano, uwiadomiwszy o swej zdobyczy Karlińskiego, ruszyli do szturmu na Olsztyn, kazawszy naczele nieść jednemu z żołdaków, małego Zygmunta. Dziecię zmęczone płaczem poprzednim, po śnie smacznym słysząc trąby i bębny, rozbudzone, poznawszy mury zamku, z uśmiechem wyciągnęło rączyny, aby prędzej dostać się do ojca i matki.

Obrońcy Olsztyna potruchleli na ten widok, mężnemu rycerstwu opadły ręce, artylerzyści nie śmieli z dział strzelać, i spuścili ku ziemi lonty zatlone. Tymczasem coraz bliżej murów zamkowych pokazują się roty austryackie; nieszczęśliwa matka pada do nóg mężowi, aby ostatnie dziecię ratował, i raczej zamek nieprzyjaciołom poddał. Karliński stał chwilę w osłupieniu, ale wzniósłszy w niebo oczy, po krótkiej modlitwie dał rozkaz, aby ze wszystkich dział uderzono. Kiedy tego nie usłuchano jeszcze rozkazu, sam poskoczył, wyrwał lont zatlony najbliżej stojącemu i zapalił działo. Na to hasło wszystka zamkowa

armata dała ognia. Dym zakrył roty nieprzyjacielskie przed oczyma, po chwili ujrzano z murów, jak w popłochu nacierający co dopiero, uciekają, zostawiwszy w fossie zamkowej skrwawione ciało małego Zygmunta. Kula z działa, które sam ojciec zapalił, trafiła w dziecinę i zabiła je wraz z niosącym żołdakiem. Otóż przynoszą martwe zwłoki ostatniego syna Karlińskiemu, poszarpane i skrwawione, jak widzicie na tym obrazku. Matka klęczy i w rozpaczy łamie ręce, ojciec niby się pociesza, wskazując na zdobytą nieprzyjacielską chorągiew, a po sędziwem licu, łzy mu spadają.

Co widzicie w dali jazdę polską, to hufce Zamojskiego; one gnały arcy-księcia Maxymiliana już od Krakowa, aż go otoczyły w Byczynie. Tam poddać się musiał Zamojskiemu, który go osadził jako brańca w Zamościu, gdzie długo siedział.

Bóg pocieszył Karlińskiego i nieszczęśliwą matkę, dał im jeszcze dwóch synów Walentego i Marcina, których wychowali na pociechę swoję i kraju. Obadwa pięknie się odznaczyli w zawodzie rycerskim, bo dawniej moje chłopcy (mówił pan Dąbrowa, kończąc swe opowiadanie) syn do ojca był podobien jak dąb do dębu, a córka do matki jakby dwa bratki, co na naszych łąkach kwitną. To też cały ród Karlińskich byli to dzielni rycerze, nie żałowali oni ani krwi własnej ani życia swego, ni dziatwy swojej, byle Boga w sercu mając, wypełniać święcie swoje obowiązki.

Józio i Adaś stali długo z zapłakanemi oczyma. Stary Wojciech, łzy spadłe na siwe wąsy ocierał, kiwał głową i mrucząc jakieś wyrazy, wyszedł z pokoju z chłopcami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Spekulant.

Wawrzyniec Gajewski przyjeżdżając zza Wisły do Warszawy z drzewem, nauczył się od starych wyjadaczów fabrykować drzewo, to jest z jednej przywiezionej fury robić dwie lub trzy mniejsze, tak zwane *druchny*. Niedaleko Wisły w miejscu oparkanionem przy ulicy Źródlanej złożywszy drzewo, wywoził go częściowo do miasta, a po sprzedaniu jednej fury, przybywał następnie po drugą i trzecią, przysięgając się zawsze przed kupującymi, (którzy poznali się już na podobnym rodzaju handlu), że jedzie prosto z domu. Nie bacząc, że konia męczył częstym wyjazdem pod przykrą górę i obładowaniem zbytecznem przy wyjezdzie z domu, że czas marnował i późną nieraz porą do domu powracał, nie przestawał uganiać się za nieuczciwym zyskiem. Raz zebrawszy pół pięta rubla za trzy fury z jednej zrobione, puścił z uciechy część zarobku na trunek, a ztąd dobrze podchmielony, i że już kawał w noc było, zacinał coraz gęściej konia batem, tak, że ten padł wkrótce wśród drogi z wysilenia. Wawrzyniec, który nie mógł sobie w stanie opilstwa dać rady, położył się na wozie i zasnął, a wtedy pozbył się i woza i butów i czapki i sukmany i pieniędzy, i wrócił odarty i przeziębły o pięć mil od Warszawy. Chciwość swoję odpokutował on kilkotygodniową chorobą i zupełnym upadkiem w gospodarstwie; lecz odtąd wyrzekł się brzydkiego tego nałogu, wyznając z pokorą, że oszukaństwem nigdy się człowiek nie dorobi.

Tego rodzaju spekulantów i dziś jeszcze często spotykać można; nieraz późnym wieczorem widać wlokące się małe furki drzewa, którego właściciele każdego prawie przechodnia zaczepiają wołaniem: panie! kup pan drzewo, niedrogo sprzedam. Są to spekulanci w rodzaju Gajewskiego, których prędzej czy później, podobny jak tamtego los czeka.

Zdania.

1. Od przyjaciół ucz się poznawać wady, które masz, a od pochlebców ucz się nabywać cnót, których nie posiadasz.

2. Jeżeli chcesz być bogatym, to niedosyć ci jest wiedzieć, jak zarobić, ale wiedzieć ci trzeba oraz, jak zaoszczędzić.

3. Dusza leniwca podobna jest do gruntu odłogiem porzuconego; rodzi ona tylko zielsko i chwasty bez użytku.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 23 czerwca (5 lipca) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*